GLOBALNIE · ANALIZA

DECYDUJĄCA FAZA WYBORÓW W USA – PRZYSTĘPNY PRZEWODNIK

Kacper Kita · 9 września 2020



Zostały już tylko dwa miesiące do największego spektaklu współczesnej demokracji – wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Tym samym kampania wchodzi w decydującą fazę. Specjalnie dla Państwa piszący te słowa będzie co tydzień relacjonował wydarzenia z jej ostatniej prostej, a także dzielił się swoimi spostrzeżeniami i refleksjami. Na początek warto jednak uporządkować podstawy naszej wiedzę na temat wyborów w Stanach Zjednoczonych w ogóle, jak i tych konkretnych, które czekają nas 3 listopada. Wokół amerykańskiego systemu politycznego narosło wiele mitów. Częste jest też przekonanie, że jest on w jakiś sposób szalenie złożony, a pojąć jego meandry i zrozumieć mechanizmy wyboru i funkcjonowania władz najpotężniejszego (jeszcze) państwa świata mogą jedynie oświeceni „eksperci". Nic bardziej mylnego – o czym będę starał dziś Państwa przekonać. Zarazem nie zanudzając. Co więc warto wiedzieć o zbliżającej się elekcji?

3 listopada wybierany jest nie tylko prezydent

USA to specyficzny kraj, w którym nie ma, jak w Polsce i zdecydowanej większości krajów Zachodu, z zasady odrębnych wyborów prezydenta i parlamentu, których kadencja jest niezależna od siebie. U nas

czasem jedne i drugie wybory są bliżej siebie, czasem dalej. Czasem Sejm zostanie rozwiązany lub prezydent umrze, wtedy mamy szybsze wybory jednego lub drugiego rodzaju. W Ameryce przez 230 lat nigdy nie było i być nie może czegoś takiego jak przyspieszone wybory prezydenta lub Kongresu. Jeśli prezydent umrze lub zrezygnuje, automatycznie zastępuje go wiceprezydent, który dokańcza jego kadencję jako pełnoprawna głowa państwa – linia sukcesji jest określona wiele miejsc naprzód. Wybory są zawsze we wtorek między 2 a 8 listopada w roku parzystym. Zawsze, co dwa lata, wybierana jest 1/3 członków Senatu (w USA, inaczej niż w Polsce, to izba zdecydowanie ważniejsza – co widać również po tym, że jej członkowie mają trzykrotnie dłuższe kadencje, 6 lat wobec 2) oraz całość Izby Reprezentantów (izba tak formalnie jak realnie niższa). Co cztery lata w tym samym terminie wybierany jest również prezydent kraju. Jesienią o ponowny wybór będzie walczył Donald Trump, ale tego samego dnia Partia Republikańska będzie się starała utrzymać Senat (obecnie ma w nim przewagę 53 do 47, ale wśród 65 senatorów, którzy nie ubiegają się o reelekcję, przegrywa 30 do 35), a Partia Demokratyczna będzie bronić Izby Reprezentantów (obecnie ma w niej przewagę 232 do 198). Wszystkie te wybory będą miały miejsce w okręgach jednomandatowych. W przypadku Senatu każdym okręgiem jest jeden stan – każdy z 50 stanów ma 2 senatorów, stąd jest ich obecnie stu. W przypadku Izby okręgi są porozdzielane proporcjonalnie do ludności, zgodnie z przeprowadzanym co 10 lat cenzusem (w tym roku będzie miał miejsce kolejny, który zdecyduje o podziale mandatów w latach 2021-2030). Stąd 7 najmniejszych stanów (np. Alaska) ma 2 senatorów, ale tylko 1 posła, podczas gdy największa Kalifornia ma również 2 senatorów, ale aż 53 posłów. W tych regułach widać, że celem ustalających je Ojców Założycieli było zrównoważenie zasady proporcjonalności oraz zasady autonomii i podmiotowości każdego stanu unii.

Prezydent nie jest wybierany bezpośrednio, ale system jest prosty i sensowny

Kolejna amerykańska specyfika – głowę państwa wybiera Kolegium Elektorskim, które liczy obecnie 538 członków. Dlaczego akurat 538? Ponieważ każdy stan ma w Kolegium tyle głosów, ile ma mandatów w Kongresie, razem w Senacie i w Izbie. Trzymając się przykładu z punktu 1– Alaska ma 3 elektorów, a Kalifornia 55. Dodatkowo 3 elektorów ma stołeczny Dystrykt Kolumbii. 100 (liczba senatorów) + 435 (liczba posłów) + 3 = 538.

Każdy stan głosuje osobno, a kandydat wygrywający wybory w danym stanie otrzymuje całość jego mandatów w Kolegium Elektorskim. Joe Biden otrzyma 55 mandatów z Kalifornii, jeśli uzyska w niej 51 proc. głosów i 55 mandatów z Kalifornii, jeśli uzyska w niej 79 proc. głosów. Ekstrawagancja? XVIII-wieczny archaizm? Nie – to znów przemyślany system, który ma na celu dowartościowanie mniejszych stanów. Założenie wyjściowe zrozumiałe dla państwa federalnego – mieszkańcy danego stanu są podobni przede wszystkim do siebie nawzajem. Gdyby głosowanie było powszechne, kandydatom opłacałoby się zawsze starać przede wszystkim o wyborców z największych stanów, bo ich jest najwięcej. Obecnie jednak w niektórych dużych stanach jest praktycznie pewne, kto wygra, a najintensywniejsza walka toczy się w tych, w których zwycięzca jest nieoczywisty – nawet, jeśli mają do zaoferowania tylko małą lub średnią liczbę mandatów w Kolegium. Z drugiej strony, gdyby kandydaci danej partii przez lata konsekwentnie zaniedbywali jakiś stan, uznając, że i tak w nim wygrają, po pewnym czasie i on może wejść do gry. W dziejach USA możemy znaleźć sporo przykładów przechodzenia stanów z obozu do obozu. Dzisiejszy bastion Demokratów, Kalifornia, w historii częściej głosowała na kandydatów Republikanów. To ten stan wydał tak kluczowe dla XX-wiecznej Partii Republikańskiej postaci, jak prezydenci Richard Nixon i Ronald Reagan czy wieloletni szef Sądu Najwyższego Earl Warren. A teraz Demokraci wygrali w Kalifornii 7

ostatnich razy. Z kolei w drugim największym ludnościowo Teksasie Republikanie mają dziś serię aż 10 zwycięstw. Choć dawniej była to twierdza Demokratów, którzy w latach 1876-1948 przegrali tam tylko raz, w 1928, gdy wystawili katolika Ala Smitha, w kampanii wściekle atakowanego za rzekomą polityczną lojalność wobec Rzymu. To z Teksasu pochodził także nieco dziś zapomniany, a zdaniem piszącego te słowa Demokrata, który po wojnie najbardziej się w historii Ameryki odcisnął – prezydent Lyndon Johnson. W 2016 najgłośniejszym przykładem zaniedbania i utraty traktowanego jako pewny stanu było odpuszczenie przez Hillary Clinton Wisconsin (w którym Demokraci mieli serię 8 zwycięstw) i Michigan (seria 7). W obu minimalnie wygrał Trump, zdobywając tym samym 26 mandatów, które zdecydowały o jego sensacyjnym tryumfie.

> By zostać prezydentem USA, należy zdobyć większość w Kolegium Elektorskim, 270 z 538 mandatów. Można więc zwyciężyć, ale przegrać głosowanie powszechne – tak właśnie było w 2016. Stąd też złość wielu sympatyków Clinton na system wyborczy. Była to dopiero czwarta taka sytuacja w historii USA (poprzednie miały miejsce w 1876, 1888 i 2000).

Warto zwrócić uwagę, że w ostatnich siedmiu wyborach prezydenckich, od 1988, kandydat Republikanów tylko raz wygrał głosowanie powszechne (Bush junior w 2004). Ciekawostka na marginesie – w razie remisu Trumpa z Bidenem, 269:269, wygrałby ten pierwszy, gdyż w takiej sytuacji prezydenta wybrałaby Izba Reprezentantów, w której posłowie głosowaliby reprezentacjami stanowymi – każda miałaby jeden głos. Mimo ogólnej większości Demokratów, to Republikanie mają więcej posłów z 26 stanów, a Demokraci z 23 (w jednym jest remis).

Liczą się tylko Trump i Biden

USA są krajem de facto dwupartyjnym i nic nie wskazuje, by miało się to zmienić. Dominacja Demokratów i Republikanów, którzy naprzemiennie kontrolują prezydenturę, Senat i Izbę (rzadko kiedy jedna partia ma naraz wszystkie ośrodki), utrzymuje się od końca wojny secesyjnej. Inni kandydaci bardzo rzadko odgrywają rolę, mimo rozmaitych spekulacji medialnych co cztery lata (np. w tym roku mówiono, że w razie zwycięstwa Berniego Sandersa w prawyborach prezydenckich Demokratów samodzielnie mógłby wystartować Mike Bloomberg, w 2016 wróżono, że wobec zwycięstwa prawyborczego Trumpa ponownie w szranki może stanąć Mitt Romney, lub właśnie Bloomberg). Liczą się tylko i wyłącznie Donald Trump i Joe Biden. W trwających wyborach pozostali kandydaci są jeszcze mniej widoczni, niż w 2016 byli Libertarianin Gary Johnson i Zielona Jill Stein.

Demokraci liczą, że Trump to jednorazowa aberracja, a Ameryka wróci na drogę postępu

W 2016 zgodnie z prawami historii po „pierwszym czarnoskórym prezydencie" miała nastąpić „pierwsza kobieta w Białym Domu". Jak wiadomo, nie nastąpiła. Demoliberalny establishment nie znalazł nigdy dobrej odpowiedzi na pytanie dlaczego, często pogrążając się w utyskiwaniu na głupi, nieoświecony, pełen uprzedzeń lud lub naciąganych teoriach spiskowych o tym, że Trump „tak naprawdę" przegrał, a „wygrał" wybory dzięki rosyjskim służbom specjalnym. Zasadniczo to środowisko liczy, że wybór Trumpa nie był rezultatem głębokich procesów społecznych, ale jednorazową aberracją, a od 2020 znów „będzie tak jak było". Joe Biden jest personifikacją tegoż establishmentu i jego „sprawdzonych sposobów". Ma-

jąc 31 lat został jednym z najmłodszych w historii USA senatorów – w wyżej izbie Kongresu spędził kolejne 36 lat, aż został na 8 lat wiceprezydentem u Obamy. Zawsze był i nadal jest typowym establishmentowym, centrowym politykiem, który poglądy dostosowuje do aktualnych trendów. Jest chętny do współpracy z równie ideowo miałkim, „pragmatycznym", establishmentowym skrzydłem Partii Republikańskiej, jednocześnie na przestrzeni lat grzecznie akceptując kolejne zdobycze rewolucji obyczajowej (aborcja, homo- i transseksualizm etc.). Biden ma już 78 lat i wielokrotnie widać było, że jego sprawność nie jest już najwyższa. Jest jednak zdecydowanie najbardziej znanym i rozpoznawalnym ze „starej gwardii", dlatego po niego sięgnięto. Równoważyć starego białego mężczyznę ma jego kandydatka na wiceprezydenta, senator Kamala Harris pochodzenia hindusko-jamajskiego. Nominacja osoby, która w razie prezydentury Bidena byłaby pierwsza w kolejce do zastąpienia go była bardzo istotna ze względu na jego wiek i stan zdrowia.

Postawienie na Harris wydaje się świadczyć o tym, że Demokraci dalej wierzą w prawa postępu – Harris zbiera podwójne punkty jako czarna kobieta, a media pieją z zachwytu, że byłaby po wielokroć pierwszą w Białym Domu reprezentantką rozmaitych mniejszości. Zdaniem piszącego te słowa ta decyzja nie broni się, gdy na wybory spojrzymy racjonalnymi, a nie magicznymi kategoriami. Harris pochodzi ze stanu, który i tak na 100 proc. zagłosuje na Bidena. Reprezentuje grupę społeczną, wśród której sam Biden miał najwyższe poparcie (wielokrotnie wyższe od niej samej, gdy jeszcze rywalizowali w prawyborach), która najchętniej popiera Demokratów w każdych wyborach prezydenckich (ponad 90 proc.) oraz jest najmniej liczną z trzech największych. Poza tym w prawyborach atakowała Bidena, sugerując mu (jakże oryginalnie) uprzedzenia na tle rasowym. Tematyka rasowa jest „na topie" w związku z protestami, które ogarnęły USA po śmierci George'a Floyda, stale promowanymi przez czołowe centrolewicowe media i polityków.

Wydaje się, że te środowiska od wielu lat stosują starą zasadę divide et impera, starając się maksymalnie pobudzać w czarnoskórych poczucie krzywdy, żeby głosowali na Demokratów i podtrzymywali polityczne status quo wierząc, że walczą z wyzyskującym ich systemem. „Bunt", któremu przewodzą największe media, korporacje czy występujący w roli autorytetów celebryci opowiadający np., że w Ameryce trwa dziś „ludobójstwo czarnych przez policję". Jednocześnie wraz z masową imigracją postępuje bałkanizacja USA, które stają się coraz bardziej i bardziej podzielone wewnętrznie po liniach rasowych, etnicznych, narodowościowych, religijnych. Jak kilka lat temu zauważył publicznie znany przyjaciel Ameryki Władimir Putin, biali chrześcijanie nie są tam już większością.

Jeśli chodzi zaś o ewolucję rozwijającej się w kontrze do status quo ante 2016 prawicy, poświęciłem osobne teksty dwóm najciekawszym moim zdaniem jej postaciom – Steve'owi Bannonowi i Tuckerowi Carlsonowi.

Główne tematy kampanii

Na co dzień kampania zdominowana jest przez temat protestów „antyrasistowskich" oraz pandemię koronawirusa. Dobre pojęcie o tym, co najbardziej liczy się dla wyborców obu kandydatów, daje badanie Pew Research. Zwolennicy Trumpa jako „bardzo ważne" kwestie, które decydują o ich poparciu dla niego, wymieniają gospodarkę (88 proc.), brutalną przestępczość (74 proc.), imigrację (61 proc.), nominacje do Sądu Najwyższego (61 proc.) i dostęp do broni palnej (60 proc.). Sympatycy Bidena – służbę zdrowia (84 proc.), pandemię koronawirusa (82 proc.), nierówności rasowe i etniczne (72 proc.), gospodarkę

(72 proc.), zmiany klimatyczne (68 proc.), nominacje do SN (66 proc.). Polityka zagraniczna zajmuje u obu grup średnie miejsce z 57 proc. Charakterystyczne są ogromne różnice w zainteresowaniu tematyką taką jak koronawirus (silnie przejmuje 82 proc. zwolenników Bidena, tylko 39 proc. Trumpa), nierówności ekonomiczne (65 proc. Bidena, 24 proc. Trumpa) czy zmiany klimatyczne (68 proc. Bidena, 11 proc. Trumpa). Widać też, jak obie grupy używają odmiennych określeń na tę samą problematykę. 74 proc. sympatyków Trumpa wymienia brutalną przestępczość, 72 proc. sympatyków Bidena nierówności rasowe i etniczne. Retoryka obu kandydatów jest przewidywalna – Trump powtarza hasła „obrony prawa i porządku", atakując ideologię „krytycznej teorii rasowej", Biden uderza w tony obrony wyzyskiwanych mniejszości. Wirus pokrzyżował ubiegającemu się o reelekcję plany oparcia kampanii na gospodarce, której dobrymi wskaźnikami uwielbiał się chwalić przez 3 pierwsze lata kadencji – dziś Biden atakuje go za tysiące ofiar pandemii czy powstałe w jej wyniku wysokie bezrobocie. Trump stara się w kampanii możliwie akcentować tematykę chińską, przedstawiając siebie jako jednego obrońcę amerykańskiej hegemonii, a Bidena jako „słabego", chodzącego na układy z Pekinem przez 8 lat jako wiceprezydent, zadowalającego się „zarządzaniem kontrolowanym upadkiem Ameryki".

Podsumowanie

Największym wydarzeniem ostatnich tygodni kampanii będą tradycyjne trzy debaty kandydatów na prezydenta oraz jedna kandydatów na wiceprezydenta. Pierwsze starcie nastąpi 29 września. Zdaniem piszącego te słowa wbrew sondażom suflowanym obficie przez media głównego nurtu nic nie jest przesądzone, a Donald Trump ma naprawdę duże szanse na reelekcję. Przez ostatnie sto lat tylko trzykrotnie raz wybrany prezydent nie wygrywał drugiej kadencji (Herbert Hoover w 1932, Jimmy Carter w 1980, George H. W. Bush w 1992). Joe Biden to typowy kandydat anty-Trump, który sam sobą niewiele wnosi poza wypracowanym przez lata wizerunkiem uśmiechniętego „fajnego Joe". Oczywiście, przy czysto binarnym wyborze i ogromnym elektoracie negatywnym obecnego lokatora Białego Domu może to wystarczyć – sytuacja jest podobna do tej, z którą mieliśmy do czynienia w Polsce przy drugiej turze wyborów prezydenckich. Nie należy się raczej spodziewać dużej przewagi żadnego z rywali. Na pewno warto śledzić finisz tej kampanii, która rozstrzygnie, kto kolejne cztery lata będzie mógł tytułować się „przywódcą wolnego świata", a także w jakim stopniu jego władza będzie ograniczona przez Kongres (np. Senat musi zatwierdzić każdą nominację na stanowiska odpowiadające polskiemu ministrowi). Wszystko, co w niej istotne i ciekawe, mam nadzieję wychwytywać i przedstawiać Państwu co tydzień na naszym portalu.

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/decydujaca-faza-wyborow-w-usa-przystepny-przewodnik/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć